

GAYLE FORMAN

zostań, jeśli kochasz

Przełożyła
Hanna Pasierska

NASZA KSIĘGARNIA

DLA NICKA
Nareszcie... Na zawsze

7:09

Wszyscy uważają, że winien był śnieg. I w pewnym sensie to prawda.

Rano budzę się i widzę biały puch, pokrywający trawnik przed domem niczym cienki koc. Nie ma nawet trzech centymetrów grubości, ale w tej części Oregonu wystarczy, że poproszy, a cały okręg staje, jedyny zaś pług śnieżny budzi się do życia i oczyszcza drogi. To, co spada z nieba – kap, kap, kap – to woda w płynnej, niezamarzniętej postaci.

Śniegu jest akurat tyle, żeby zamknięto szkoły – w tym moje liceum oraz gimnazjum Teddy’ego. Mój młodszy braciszek wydaje okrzyk wojenny, gdy radio oznajmia, że lekcje zostały odwołane.

– Śniegowy dzień! – wrzeszczy. – Tato, chodź lepić bałwana!

Tato uśmiecha się i wystukuje fajkę. Zaczął palić niedawno; to jeden z elementów jego retrofiola na punkcie lat pięćdziesiątych, *à la* film *Father Knows Best*. Zaczął nawet nosić muszki. Tak naprawdę nie wiem, czy to powierzchowna moda, czy wyraz autoironii: może w ten sposób tato oznajmia, że dawny punk skończył (o ironio) jako nauczyciel angielskiego w gimnazjum, ale może też dawać do zrozumienia, że kariera zmieniła go w prawdziwy relikwiarz przeszłości. Mimo to lubię zapach jego tytoniu. Jest słodkawy i dymny, przywołuje na myśl zimę i drewno płonące w kominku.

– Śmiało, do dzieła! – mówi tato do Teddy’ego. – Tylko że ten śnieg ledwo się trzyma drogi. Może powinieneś ulepić amebę.

Widzę, że brat jest szczęśliwy. Mama, która pracuje w biurze podróży w miasteczku, wyłącza radio i nalewa sobie drugi kubek kawy.

– Ha, skoro wszyscy dzisiaj wagarujecie, nie ma mowy, żebym ja poszła do pracy. To by była zwyczajna niesprawiedliwość.

Sięga po telefon. Po chwili kończy rozmowę i patrzy na nas.

– Zrobić śniadanie?

Oboje z tatą równocześnie wybuchamy śmiechem. Mama umie przyrządzić owsiankę i grzanki. To tato jest domowym kucharzem.

Mama udaje, że nie słyszała, i sięga do szafki po pudełko naleśników w proszku.

– Litości. Przecież to żadna filozofia. Kto ma ochotę na naleśniki?

– Ja! Ja! – krzyczy Teddy. – A możesz zrobić z kawałkami czekolady?

– Oczywiście, czemu nie – odpowiada mama.

– Juhuu! – woła mały, machając rękami w powietrzu.

– Masz stanowczo za dużo energii jak na tak wczesną porę – drażnię się z nim. Odwracam się do mamy. – Może nie powinnaś mu dawać tyle kawy.

– Przetawiałam go na bezkofeinową – ripostuje mama. – To naturalna żywiolowość.

– Tylko nie próbuj przestawić na bezkofeinową m n i e – ostrzegam.

– To by podpadało pod znęcanie się nad dziećmi – wtrąca tato.

Mama podaje mi parujący kubek i gazetę.

– Widziałam tu niezłą fotkę twojego młodego przyjaciela – mówi.

– Naprawdę? Zdjęcie?

– Aha. Pierwszy raz od lata miałam okazję mu się przyjrzeć – dodaje mama i zerka na mnie z ukosa, unosząc brew. Jest to spojrzenie sięgające głębi duszy.

– Wiem – odpowiadam, a potem wzdycham mimo woli. Kapela Adama, Shooting Star, zaczyna robić karierę, co jest świetną sprawą... w zasadzie.

– Ach, sława, cóż po niej młodym – ironizuje tato, ale z uśmiechem. Wiem, że cieszy się z sukcesu Adama. Jest wręcz z niego dumny.

Przerzucam strony gazety, aż natrafiam na najświeższe wydarzenia. Znajduję maleńką notkę o Shooting Star i jeszcze mniejsze zdjęcie czworga członków zespołu, a obok sążnisty artykuł o Bikini i wielką fotę ich frontmanki, punkrockowej diwy Brooke Vegi. Fragmentik na temat Shooting Star w zasadzie sprowadza się do informacji, że miejscowa kapela wystąpi jako support w czasie portlandzkiego odcinka krajowej trasy Bikini. Nie ma nawet wzmianki o znacznie ważniejszej dla mnie sprawie: że ubiegłego wieczoru Shooting Star okazała się prawdziwym wydarzeniem w Seattle, a jeśli wierzyć SMS-owi, którego dostałam o północy od Adama, sala była pełna.

– Wybierasz się dzisiaj? – pyta tato.

– Tak planowałam. Chyba że cały okręg stanie z powodu śniegu.

– To już niemal zadymka – ironizuje ojciec, wskazując samotny płatek śniegu opadający na ziemię.

– Mam też próbę z jakąś pianistką z college'u, którą wynalazła profesor Christie.

Profesor Christie, emerytowana wykładowczyni muzyki, pod której kierunkiem pracuję od paru lat, ciągle wyszukuje nieszczęśników, z którymi mogłabym pograć.

– Dzięki temu zachowasz formę, żebyś mogła pokazać tym snobom z Juilliard School, jak się to robi – mawia.

Jeszcze się nie dostałam do Juilliard, ale przesłuchanie poszło mi naprawdę nieźle. Suita Bacha i Szostakowicza płynęły jak nigdy wcześniej; jak gdyby moje palce stały się przedłużeniem smyczka i strun. Kiedy skończyłam i stałam, zdyszana, na nogach trzęsących się od mocnego zaciskania kolan, jeden z członków komisji zaklaskał parę razy, co chyba nie zdarza się często. Wychodziłam, potykając się o własne stopy, a ten sam mężczyzna napomknął, że minęło sporo czasu, odkąd w szkole „widziano prostą dziewczynę z Oregonu”. Profesor Christie uznała to za gwarancję przyjęcia. Ja nie byłam o tym przekonana... ani też na sto procent pewna, czy tego właśnie bym chciała. Zarówno niespodziewany sukces Shooting Star, jak i przyjęcie mnie do Juilliard stworzyłyby komplikacje, a ściślej mówiąc: spiętrzyłyby te, które narosły w ciągu ostatnich paru miesięcy.

– Potrzebuję więcej kawy. Ktoś jeszcze ma ochotę? – pyta mama, stając nade mną ze starożytnym perkolatorem*.

* Perkolator – urządzenie do parzenia kawy lub sporządzania wyciągu z ziół (przyp. red.).

Wciągam zapach – aromatycznego, czarnego jak smoła, oleistego francuskiego naparu, jaki wszyscy lubimy najbardziej. Już on stawia mnie na nogi.

– Ja chyba się prześpię – odpowiadam. – Wiolonczelę zostawiłam w szkole, więc i tak nie mogę poćwiczyć.

– Nie będziesz ćwiczyc? Przez dwadzieścia cztery godziny? Milcz i nie krwaw, serce – żartuje mama. Chociaż z biegiem lat polubiła muzykę poważną („To jak zacząć doceniać cuchnący ser”), nie zawsze była wdzięczną słuchaczką moich niekończących się prób.

Nagle słyszę dobiegający z piętra trzask i huk – Teddy wali w perkusję. Należała do taty, który dawno temu pracował w sklepie muzycznym i grywał w słynnej w naszym miasteczku, ale nieznannej nigdzie indziej kapeli.

Tato szczerzy się w uśmiechu, słysząc łomot, a ja czuję znajome ukłucie. To głupie, wiem, ale ciągle się zastanawiam, czy nie jest rozczarowany, że nie zostałam rockmanką. Naprawdę chciałam. Do czasu aż w trzeciej klasie, na lekcji muzyki, podeszłam przypadkiem do wiolonczeli – wyglądała prawie jak człowiek. Wydawało mi się, że jeśli na niej zagram, zdradzi mi jakąś tajemnicę – więc zaczęłam grać. Od tamtego dnia minęło niespełna dziesięć lat, a ja wciąż nie przestałam.

– To tyle, jeśli chodzi o drzemkę! – woła mama, przekrzykując hałas.

– No i co powiecie, śnieg już topnieje – zauważa tato, pykając z fajki. Podchodzę do kuchennego wyjścia i wysuwam na zewnątrz czubek nosa. Przez chmury przebił się promień słonecznego światła; niemal słyszę, jak topnieje lód. Zamykam drzwi i wracam do stołu.

– Władze okręgu chyba przedobrzyły – stwierdzam.

– Być może. Ale nie mogą „od-odwołać” szkoły. Mleko się rozlało, a ja już wzięłam wolny dzień – mówi mama.

– W rzeczy samej. Możemy jednak wykorzystać ten nieoczekiwany dar niebios i gdzieś się wybrać – proponuje tato. – Na przejażdżkę. Odwiedzić Henry’ego i Willow.

Henry i Willow to starzy kumple rodziców z czasów wspólnego grania, którzy także zdecydowali się na dziecko i postanowili zacząć się zachowywać jak dorośli. Mieszkają w wielkim starym domu na farmie. Henry projektuje coś w necie w swoim biurze (dawnej stodole), a Willow pracuje w pobliskim szpitalu. Mają malutką córeczkę – prawdę mówiąc, to ona jest prawdziwym powodem, dla którego rodzice chcą tam pojechać. Teddy właśnie skończył osiem lat, a ja mam siedemnaście, co znaczy, że czasy, gdy wydawaliśmy podobny do mleka zapach, od którego dorośli zupełnie się rozklejają, to odległa przeszłość.

– W drodze powrotnej możemy zajrzeć do Szopy z Książkami – kusi mnie mama. Szopa to ogromny, za-

kurzony stary antykwariat. W głębi leży hałda płyt z muzyką poważną po dwadzieścia pięć centów; wygląda, jakby nikt prócz mnie ich nie kupował. Cały ich stos trzymam pod łóżkiem – kolekcją muzyki poważnej raczej nie wypada się chwalić.

Pokazałam je Adamowi, ale dopiero po pięciu miesiącach chodzenia. Sądziłam, że mnie wyśmiej. To taki wyluzowany gość z subtelnymi tatuażami, w rurkach, czarnych trampkach i zwyczajnych znoszonych punkrockowych T-shirtach. Typ faceta, który zdecydowanie nie powinien być z kimś takim jak ja. Właśnie dlatego, kiedy dwa lata temu pierwszy raz go przyłapałam, jak mi się przygląda w studiu muzycznym w szkole, byłam przekonana, że się ze mnie nabija, i zaczęłam go unikać. Tak czy inaczej mnie nie wyśmiał. Okazało się, że sam ma pod łóżkiem zakurzoną kolekcję płyt z punk rockiem.

– Możemy też wpaść do babci i dziadka na wczesną kolację – wtrąca tato i już sięga po telefon. – Zdążymy wrócić i jeszcze zostanie mnóstwo czasu, żeby cię odstawić do Portland – dodaje, wystukując numer.

– Wchodzę w to – odpowiadam.

Nie z powodu przynęty w postaci Szopy z Książkami ani faktu, że Adam jest w trasie, ani tego, że moja najlepsza kumpela Kim jest zajęta uzupełnianiem szkolnej kroniki. Nawet nie dlatego, że wiolonczela została w szkole. Szczerze mówiąc, od oglądania telewizji lub drzemki wolę

wyjscie z rodzicami i bratem. To kolejna rzecz, którą nie należy się chwalić, a którą Adam też rozumie.

– Teddy! – woła tato. – Ubieraj się. Przygoda wzywa.

Brat kończy solówkę na perkusji uderzeniem w talerze. Chwilę później wpada do kuchni w kompletnym ryzsztunku, jak gdyby wciągał na siebie ubranie, pędząc po stromych kręconych schodach naszego pełnego przeciągów, wiktoriańskiego domu.

– *School's out for summer...* – nuci.

– Alice Cooper? – pyta tato. – Czy ty nie masz żadnych zasad? Śpiewaj przynajmniej Ramonesów.

– *School's out forever...* – zawodzi Teddy, zagłuszając protesty.

– Wieczny optymista – komentuję.

Mama się śmieje. Stawia na stole talerz nadwęglonych naleśników.

– Jedz, rodzinco.